

Przedświt

13 lipca 2016

Miasto śpi. Tylko nieliczne światła blokowych okien przebijają się przez mgłę, pojedynczo, nieśmiało, zdawać by się mogło ze wstydem i jaśniejają swym blaskiem jak samotne gwiazdy zawieszone gdzieś w otchłani. Jeszcze nie czas. Teraz nie śpią ci, których albo poranna zmiana wygnała z domów i mieszkań, albo dopiero wracają po mocnym piciu. Nie śpią ci, dla których noc jest towarzyszką, milczącym świadkiem siedmiu grzechów głównych: juchty, zbieracze szkła, pisarze, płaćne damy, konspiratorzy. Kochankowie Wielkiej Niedźwiedzicy, co to kryją się w jej szerokich ramionach i czekają świtu ze strachem lub nadzieją.

Miasto śpi. A na wiadukcie opiera się o barierki samotny kształt człowieczy i zza oparów papierosowego dymu rzuca leniwe spojrzenia nielicznym samochodom, które przejeżdżają pod nim. Za kilka godzin ulice te zaroją się. Gdzieśgdzie dzwony zabiją na poranną mszę, gdzieśgdzie z minaretów popłynie śpiew mudzahedina wzywającego na modlitwę i zaroją się gwarem języków ulice dwumilionowego miasta Posnen, stolicy regionu zachodniego. Ale jeszcze nie czas.

Miasto śpi jeszcze. Pierwszy dzienny tramwaj, mijając opustoszałe blokowiska, wtacza się leniwie na przystanek i wyrzuca z siebie mnie, jedyne go pasażera. Niepewnym krokiem zaczynam wspinać się na szczyt wiaduktu po betonowych schodach, przeklinając w myślach poranny chłód. Po chwili znajduje się już na górze i pewnym krokiem podchodzę do barierki.

- Czołem. A mówiłeś ostatnio, że nie palisz.
- Rzucam. Jestem w trakcie - uśmiecha się z przekąsem.
- Ja rzuciłem - odpowiadam wyjmując papierosa z paczki - Sport, zdrowie...

- ...nacjonalizm - kończy - Chodź Błażej. Czekajmy na Ciebie.

Przechodzimy obok kościoła św. Mateusza. Zniszczona dzwonnica i ukruszone kawałki ścian oraz wyrwy po pociskach, ślady wojny sprzed 30 lat, tworzą spójną całość z widocznie świeżymi zniszczeniami: wybitymi szybami i drzwiami wyłamanymi z zawiasów.

- To z ostatnich zamieszek - mówi Wojtas. - Póki co się uspokoiło, ale w niektórych dzielnicach jest nadal gorąco. Chodź już.

- Czekaj. Muszę wejść.

Świecąc telefonem wchodzę do wnętrza świątyni. Od razu uderza mnie zapach przetrawionego alkoholu, ludzkiego potu, potów i spalenizny. Na kamiennej posadzce leżą pokotem skulone, nieprzytomne ciała ludzkie, w większych lub mniejszych skupiskach, w kurtkach, czapkach, pod ornatami i obrusami ołtarzowymi. Patrzyłem na to wszystko z trudem wytrzymując panujący zaduch.

- Chodź już.

- Czekaj - odpowiadam nieprzytomnie.

Na stopniach prezbiterium leży dwoje młodych ludzi. We śnie trzymają swe prawe dłonie, owinięte stułą. Na ołtarzu widzę przewrócone butelki, szklanki, słoiki, niedopałki i resztki jedzenia.

- Błażej, idziemy. Nic z tym teraz nie zrobisz. Samo gapienie nie ma sensu.

- Czekaj.

Kieruje światło na boczny ołtarz i podchodzę do niego. Z nadpalonego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej pozostała tylko prawa połowa jej twarzy. Patrzę więc na smutne resztki jej smutnego oblicza i wzbiera we mnie dziwne uczucie gniewu,

żału i bezsilności. Po lewej stronie ołtarza wisi krzywo tablica z darami wotywnymi, ogołocona ze złota i srebra. Wyciągam drżącą rękę po niewielki mosiężny ryngraf z Matką Boską Ostrobramską i orłem, w tym samym momencie na ścianie tuż obok mojej głowy rozpryskuje się z hukiem szklana butelka. Czuję pulsujący ból i ciepłą krew spływającą po twarzy, a kościołem wstrząsa chrapliwy krzyk:

- Czzzeho szuhasz? Wiara, łobcy, łobcy!

Zrywam ryngraf i biegnę do wyjścia. Widzę, że kłębowisko ludzkie zaczyna falować, pojedyncze sylwetki podnoszą się powoli, pomrukując groźnie, kolejne butelki rozbryzgują się tuż obok mnie. Biegnę na oślep, byle do wyjścia, potykam się o leżących, depczę ich brzuchy i kończyny, toruję sobie drogę pięścią i kopniakami. Tuż przed wyjściem czuję jednak jak czyjeś dłonie oplatają się wokół moich kostek i z hukiem padam na podłogę. Szarpiąc próbuję wyrwać się z uścisku, ale ktoś chwyta mnie za rękę. Wijąc się beznadziejnie na brzuchu patrzę na błyszczące w ciemności oczy i cedzę przez zęby „puszczaj, brudzie”, kiedy nagle słyszę głucho uderzenie drewnianego kija, oczy gasną, a czyjeś ręce gwałtownie szarpią mnie w górę.

- Wstawaj- odzywa się znajomy głos- mówiłem, żeby tu nie wchodzić.

Wybiegamy zdyszani z kościoła. Ja ciągle trzymam w dłoni ryngraf, a Wojtas biegnie z resztkami drzewca od jakiejś chorągwi; też musiał oberwać, bo krwawią mu wargi. Obracamy się za siebie. Nikt nas nie goni. Zwalniamy nieco kroku i znikamy między blokami.

- Wojtas, co to było? Co to za ludzie?

- Bezdomni. Anarchiści. Kipaci. Urządzili tu sobie squat. Squot, Chryste, zwykłą metę. Wiesz, że do bezdomnych nic nie mam, ale taka mieszanka to już za dużo...

- Nic z tym nie robicie?

- Nic nie robicie, nic nie robicie. A gdybym nie wpadł ze sprzętem, to jeszcze byś tam leżał, a i przesyłkę szlag by trafił. W gadce każdy mądry. Turysta, zwiedzać Ci się zachciało. Jeszcze fajki zgubiłem.

Milczę zbity z tropu.

- Ale już niedługo - kontynuuje Wojtas. - Przecież po to też przyjechałeś.

- Tak. Przecie nie przedzierałbym się przez granicę ze Sztetyna tylko po to, by zwiedzać Posnen.

- Taaaak, paprykarzu, przyznaj, że każdy powód jest dobry, żeby się stamtąd wyrwać. Już niedaleko.

Słońce już wschodzi, gdy opuszczamy osiedle Orła Białego. Przechodzimy przez ulicę i stajemy na skraju niewielkiej polany, porośniętej wysoką trawą i pojedynczymi drzewami, wśród których tylko wprawne oko mogło zauważyć zarośniętą, wijącą się ścieżkę. Idziemy włąb polany, mijamy linię drzew i przed moimi oczyma wyrastają budynki przemysłowe, widocznie od dawna nieużytkowane. Latarnie są puste, a dziurawy asfalt praktycznie niewidoczny znad kęp traw.

- Przed wojną było tu kilka fabryk i magazynów - opowiada Wojtas - większych i mniejszych. Później przyszła wojna i kryzys. I się usrało.

Prowadzi mnie na spory parking, w którego centrum stoi niewielki budynek, przypominający dom jednorodzinny, ale wyjątkowo krzywy i szpetny. Rosną przy nim dwa dęby, jeden stary i potężny, z rozłożystymi gałęziami, drugi najwyżej kilkunastoletni, oba obrodzone zielonymi liśćmi. Wiosna.

- To tutaj? - pytam nie dowierzając.

Wojtas milczy. Przekręca klucz w zamku i otwiera masywne

drzwi. Wchodzimy.

* * *

Wnętrze budynku całkowicie nie pasuje do zewnętrznej bryły. Boazeria, wykładzina, zdjęcia przybite i poustawiane w każdym możliwym miejscu oraz obrazy patrzące ze ścian, wraz z zapachem kawy sprawiają, że jest tu przyjaźnie, wręcz domowo. Tylko wiszące wszędzie biało-czerwone flagi, zielone szturmówki ze Szczerbcem, falangi i celtyki uświadamiają mi, że nie jestem w zwyczajnym domu. Podziwiam zdjęcia - czarno-białe, kolorowe, 3D - niektóre jeszcze z początków poprzedniego stulecia, fotografie z defilad, zjazdów, uroczystości, portrety pojedyncze i zdjęcia grupowe, mężczyzn i kobiety w mundurach, ludzi przy pracy, mówców z mikrofonami i megafonami.

- Czołem. Jak widzi ci się nasza siedziba? - odzywa się schodzący po schodach około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Powłóczy lekko prawą nogą, podpierając się drewnianą laską, ale widać w nim tężyznę fizyczną. Spod bieluśkich włosów spogląda na mnie gotowymi na wszystko oczyma nastolatka. - Jestem Grab. Ile masz lat, chłopcze?

- Dwadzieścia - odpowiadam mimowolnie stając na baczność. - Serdeczne pozdrowienia od Młodzieży ze Sztety... Szczecina - uznaję, że nowe nazwy mogą mu się nie podobać.

- Od jak dawna jesteś w Poznaniu?

- Od dwóch dni.

- Miałeś jakieś problemy na granicy?

- Żadnych. Udało mi się przekroczyć zieloną granicę za Piłą. A stamtąd już prosto do Poznania, to polem, to lasem.

- Masz gdzie spać? - dopytuje się gospodarz.

- Tak, organizacja przydzieliła mi kwatere na na Wolnych

Torach, na skrzyżowaniu Pileckiego i Baumana.

Zapada między nami krępująca cisza. Twarz mężczyzny wypełnia się smutkiem i patrząc za okno zaczyna szeptać:

- Wszystko się pomieszało, wszystko się pomieszało... - po czym zwraca się do mnie.

- Ale nie przyjechałeś z pustymi rękami, prawda?

- Mam to czego chcieliście - odpowiadam i wydaję z plecaka paczkę owiniętą w szary papier. Kładę ją na stole.

- Odwiń.

Sam nie wiem, co przewoziłem. Instrukcje? Dokumenty? Amunicje? Drżącymi palcami rozplątuje sznurki i odwijam papier. Czuję na sobie nerwowe spojrzenia i zdaję mi się, że ta prosta czynność trwa całą wieczność. Przekradałem się przez granicę. Błąkałem nocą po lasach jak jakiś imigrant. Ukrywałem się w opuszczonych szopach, dworcach, kaplicach. Wszystko po to, by dostarczyć tę jedną paczkę. Odwijam ten przeklęty papier i wydaję materiałowe zawiniątko.

Rozwijam je na stole. To trójkątny płat zielonej tkaniny, widać, że był częścią czegoś większego, o czym świadczy widocznie poszarpana najdłuższa krawędź. Pod wyszytą połową miecza widnieją cyfry "22". Na odwrocie znajduje się połowa orła na czerwonym tle.

- To chusta? Wlokłem tu jakąś chustę? - pytam.

- Co się irytujesz? Miałeś przewieźć paczkę i tyle - odpowiada beznamiętnie Wojtas.

- Ale to kawałek materiału!

- Ty nawet nie wiesz, co to jest - przerywa mi gospodarz. - To połowa sztandaru. Od 30 lat te połowy były rozdzielone. Jedną miałem ja, druga błąkała się gdzieś po świecie. Nawet nie

wiesz, jak długo jej szukaliśmy, to nie jest "tylko" kawałek materiału...

- Dosyć tego! - zaczynam krzyczeć. - 30 lat temu mieliście szansę. Mogliście mieć wszystko. To wasza wina, że teraz wokół jest tak, a nie inaczej. I co? Kiedy znów coś się budzi, kiedy zaczynamy się organizować, wolicie tworzyć jakieś prywatne muzeum, izbę pamięci. Mam kupić bilet? Nie! To nie dla mnie. Miałem dostarczyć pakunek- dostarczyłem. Zrobiłem swoje. A teraz do widzenia.

Wychodzę.

* * *

Budzę się dopiero po zmroku. Kiedy wróciłem po krótkiej kłótni, wszystkie przeżycia ostatnich dni, cała złość związana z przesyłką, przegrały ze zmęczeniem. Spałem 12 godzin, teraz wstaję i zaczynam szykować się do dalszej drogi. Już nigdy nie dam wrobić się w żadnego kuriera, a Posnen będę omijał szerokim łukiem.

- Wykorzystali cię - mówię sam do siebie patrząc w lustro. - Tak kończą te organizacje. Po co to wszystko? Popatrz dookoła, tyle ludzi nie ma zielonego pojęcia o tym, czym jest nacjonalizm, i co? Żle im? A Ty umyśliłeś sobie sumienia budzić, ubzdurałeś narodową rewolucję, rewolucję jak wiatr, ideę twardą jak stal, mocarne wiosny tchnienie, Wielkiej Polski moc to my. I po co?

Sięgam po ćmiki do kieszeni kurtki, lecz pod palcami czuję tylko kawałek zimnego metalu. No tak, ryngraf z kościołosquotu. Zawsze to jakaś pamiątka. Obracam go w palcach i zauważam na rewersie jakieś napisy, które wcześniej przeoczyłem. Na górze ktoś wydrapał "PELIKAN-NSZ-1945". Znaki są koślawe, wydrapane niezdarnie jakimś gwoździem lub nożem; połowa robota sprzed ponad stu lat, leśna, partyzancka. Niżej znajduje się porządny grawerunek, widocznie późniejszy: "Za ocalenie. Czołem Wielkiej Polsce! Grab - Poznań - 2020".

Dziedzictwo pokoleń, pomyślałem.

W tym momencie przez moją głowę przechodzą tysiące błyskawic. Przecież "Grab" to ten gość, którego zbeształem po przekazaniu połówki sztandaru, a później wybiegłem jak obrażona panienka. Nie miałem pojęcia, że walczył w 2020 roku. Jakim cudem ocalał w tym pogromie? Czuję się głupio i dociera do mnie, że zachowałem się jak idiota.

Wychodzę z mieszkania.

* * *

Przechodzę między dwoma dębami i pukam do drzwi tego dziwnego budynku.

Otwiera mi Grab.

- Proszę Pana, ja chciałem przeprosić - zaczynam dukać z przejęciem.

- Spokojnie chłopcze. Wejdz. Wiedziałem, że wrócisz; trafiłeś idealnie. Chodź, pokażę Ci coś.

Na stole leży zielony sztandar, zszyty misternym haftem. Szew celowo uwypuklono, jakby ktoś chciał podkreślić akt zjednoczenia. Pod wyszytym Szczerbcem widnieje data: "1922". Prawie 130 lat...

- Widzisz, Błażej- zaczyna Grab - miałeś odrobinę racji. My mieliśmy swoją szansę 30 lat temu, gdy Ciebie jeszcze na świecie nie było. Byliśmy o krok od wszystkiego: mieliśmy poparcie, mieliśmy liderów, wypracowaliśmy spójny program i pogodziliśmy większość organizacji. O krok od tego, by mieć wszystko...

I wybuchła wojna, na którą nie byliśmy gotowi. Wiesz, nie wierzyliśmy w wojnę, a później w możliwość klęski. Wystarczył tylko tydzień, a przestaliśmy wierzyć w zwycięstwo, niektórzy zwątpili nawet, że wojna kiedykolwiek się skończy. Nie

mieliśmy szans: broni było tyle, cośmy odebrali od wojska, które skapitulowało po dwóch dniach; żadnej broni ciężkiej, żadnych pojazdów. Przeganiano nas z osiedli, sami mieszkańcy nie chcieli nas widzieć i kazali się wynosić. Wszędzie białe flagi. Ludzie byli oburzeni, że przez nas nie mogą iść do pracy, do miasta, na mecz. W końcu, po dwóch tygodniach tych dziwnych walk, nieprzyjaciel okrążył nas w tym budynku. Ja byłem ranny w prawą stopę i nie mogłem chodzić, więc zostałem. Reszta miała wyjść kanałami. Już nigdy ich nie spotkałem.

- A sztandar? - dopytuję.

- Tuż przed wojną sztandar trafił do koła poznańskiego. Trzeciego dnia, już po kapitulacji wojska, postanowiliśmy go podzielić. Żeby nie wpadł w obce łapy. Widzisz, myśmy na ten sztandar składali nasze przyrzeczenia. Był święty. W końcu udało się odzyskać. Ale nie jest tu bezpieczny. Wiem, że idą po mnie. Wszystkie kompromitujące materiały zniszczyłem, ale Ty musisz wziąć sztandar i uciekać. Wiesz dokąd, masz kontakty. Coś się budzi, prawda? Nie zmarnujcie tej szansy.

Zwija ze wzruszeniem sztandar i wręcza mi go w milczeniu. Widzę, że drżą mu ręce, a pełną powagi twarz przecina dziwny grymas. Wyprowadza mnie przed budynek.

- No idź już - zamyka drzwi. Światła domu gasną jedno po drugim.

Idę w noc i kieruję się znaną ścieżką w kierunku przystanku tramwajowego. Miasto śpi jeszcze.

Autorstwo: Przemysław Godyla

Źródło: 3Droga.pl